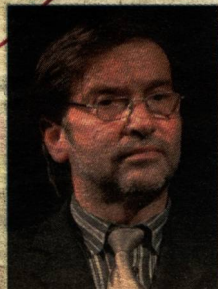


Odpryski kulturalne

Polony, PWST i wyznania ministra



Polony gra... Julię. Julię Capuletti, dodać trzeba. Nie przed laty ani nie na Narodowej Scenie, ale w krakowskim Teatrze STU w ostatniej premierze, którą wyreżyserowała Agata Duda-Gracz. Faktycznie Julie są trzy, ale liczy się ta trzecia. W szpitalnej koszuli, na szpitalnym łóżku w bardzo kolorowych, śmiesznych skarpetach. Mówi niewiele, kreśląc bezradnie w powietrzu jakieś kółka. Każde słowo zdaje się zresztą być tu „próżnym ornamentem” – jak napisał Szekspir – chcąc uchwycić to znane strażnikom więziennym przedśmiertne ożywienie. Prawie przez całą sztukę nie schodzi ze sceny, nadając każdej sytuacji wymiar szczególnej prawdy i płynącej z doświadczenia ironii.

Patrząc na tę Julię, ma się na myśli Ofelię, którą zagrała w „Hamlecie” Andrzeja Wajdy w 1981 roku u boku Jerzego Stuhra. W tak samo luźnej koszulce i lekkich pantoflach do tańca. Wtedy także nie mogła wyrzec się lekkiej ironii wobec „dusznych” niepokojów partnera, widocznej zawsze w jej spojrzeniu. Słysząc ją także, kiedy mówi o swoim reżyserowaniu: „chcę coś krzyczeć wielkim głosem, ale okazuje się, że mam chrypkę”. I dalej: Mogę sobie pozwolić na szczerość, bo poza reżyserią jestem bardzo dobrą aktorką. Zawsze lubiłam być szczera, wobec siebie też. Kochałam wykrzyzczeć swoje cierpienia, nieszczęścia, bo nie rozumiałam, dlaczego człowiek musi cierpieć. Dlaczego musiałam się w takim okresie urodzić? Dlaczego Pan Bóg dał mi taką, a nie inną urodę, czyli jej brak? Dlaczego człowiek musi się starzeć? Umrzeć? Czuję się nieszczęśliwa i musiałam to wykrzyzczeć. Bo Pan Bóg mi na to nie odpowiadał”. A teraz, wybac mi Aniu moją szczerość, patrząc na Twoją kreację, myślałam, że niewielu jest dziś artystów tak jak Ty wiernych sobie. To najwyższa klasa być wiernym światopoglądowi, estetyce i wszystkiemu na raz. Bo na tym się często przegrywa doraźnie w imię jakiegś tam, kiedyś satysfakcji.

I obraz drugi. Inauguracja 63. już roku akademickiego w Państwowej Wyższej Szkole Te-

atralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie, z udziałem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego. Z podziwem śledziłem pięknie i łagodne przejęcie władzy (jak to dziś rzadkość) przez nowy Senat i pedagogów. Ustupający rektor Jerzy Stuhr otrzymał najwyższe uczelniarne odznaczenie (dwie kadencje), obok Danuty Michałowskiej, Haliny Gryglaszewskiej i Edwarda Dobrzańskiego (zwany przez studentów żelaznym dziekanem). Ten ostatni, wraz z profesorem Janem Peszkim, odebrał także z rąk ministra Krzysz Kawałerski Orderu Odrodzenia Polski (kilkadziesiąt lat pracy pedagogicznej). Minister zaś wygłosił wykład inauguracyjny, który rozpoczął od podziękowań dla Jerzego Stuhra. „To wyjątkowo cenne wodzirejstwo: połączenie funkcji aktora, reżysera i menagera, bardzo dziś potrzebne teatrowi”. Mówił również o wyjątkowości miejsca: w przyszłym roku Kraków będzie sceną Kongresu Kultury Polskiej, na którym artyści teatru i filmu będą niewątpliwie odgrywać dużą rolę. „Kultura – mówił minister – to także odpowiedzialność i kompetencja, której oczekują jako minister kultury. Resortu, który chce uczynić resortem pierwszej kategorii wbrew wszystkim, którzy uważają go za resort trzeciorzędny”. Ponad 5 mld złotych wydatkowanych w ramach tego resortu, w 75% przez samorządy, zwraca się całkowicie”.

Minister mówił o konieczności inwestowania w najwybitniejszych, bo wielkie postaci odchodząc, pozostawiają pustkę. Jak Gustaw Holoubek, absolwent krakowskiej PWST czy Jerzy Kawalerowicz. Zdrojewski chciałby, żeby wszystkie projekty napływające do ministerstwa były zawsze w 80% inwestycją w człowieka i 20% „w mury”, a nie odwrotnie. Spojrzałem odruchowo w górę, gdzie siedziała prof. Anna Polony obok prof. Doroty Segdy. Uchwyciłem część spojrzenia szekspirowskiej Julii „po latach” z właściwym, profesjonalnym dystansem.

Wojciech Markiewicz